

Co nas czeka, czyli wielka sztuka liczenia.

Pal diabli myślenie, bez myślenia już któreś pokolenie Polaków obywa się i żyje. Ale bez liczenia w ogóle nie ma życia.

Co nas czeka, czyli wielka sztuka liczenia.

Na serio, chcielibyście wiedzieć, co nas czeka? Akurat ode mnie? Tak się składa, że nie czuję się polectanym, chociaż lubię się śmiać. Biorąc ściśle, nie tyle śmiać się lubię, ile wyśmiewać. Powodów mam w bród, po prostu do obrzydzenia. Gdzie bym nie spojrzął, natykam się na powód.

I te powody są bez żadnych szans na załatwienie. Właśnie dlatego, że na załatwienie tych powodów nie ma żadnego powodu. Każdy, jak ongiś Burek przy budzie, obgryza własną kość. Znaczy, własnej kości nie obgryza. Wołową albo świńską. Tylko tak mówi na nią, „moja własna kość”.

Oczywiście, warczy przy niej jak cholera. I cieszy się jak durny, że choć tę kość ma „własną”. To zaś, że musi harować na nią przez całe pół roku, no bo tę drugą połowę haruje na darmożądów - to nawet najbardziej warczących nie rusza. Obrazek? Proszę bardzo: w tym roku bodaj dopiero po 20 czerwca ogłoszono, że już „pracujemy na siebie”.

No to, na kogo pracowaliśmy wcześniej?

A jeszcze bardziej ważne: na kogo będziemy pracować później?



Dobra, nie chce mi się w tym babrać. Nie ma żadnego powodu. Zresztą, Burek nie interesuje się cudzą kością. Póki co, wystarcza, że ma tę „własną”.

Prawda, że zagłądanie na obce podwórko nie jest szczególnie zdrowe.

Nie będę wam robił uczonego wykładu, nieuczony tak samo nie dotrze do was. Wy i tak wszystko wiecie sami, powtarzając wciąż te same pierdoły. One są tak uczone, że gdzieś tam do nich. Takiej uczoneści, jaką obczytuję, nigdy w życiu nie osiągnę. Bo ta urawniłowka, zainicjowana przez komuchów, także przez ich następców z Brukseli, tycząca prawa do wydawania odgłosów bez względu na to, czy je wydaje lew, czy baran, a nawet, czy żaba - narobiła wiele szkód, nieobjętych rozumem. Co to za chór taki, w którym lew, baran i żaba tę samą piosenkę śpiewają?

Tyle byłoby wstępu, więcej nie warto. Szkoda nie czasu, ale atłasu. I tak nie odróżnicie go od zwykłej szmaty. Drobny dowód podałem wyżej.

A więc, to co nas czeka?

Bardzo wiele rozrywki. Różnistej. Najpierw będziemy udawać Greków. To fajna zabawa. Udawanie Greków zawsze nam świetnie wychodziło. Szkoda tylko, że nie bawimy się pod Partenonem. Byłoby o wiele przyjemniej.

Potem, kiedy już pan Rostowski skończy zadłużanie Polaków i rypnie się cała sprawa, przyjemności będzie jakby mniej. Może w ogóle nie będzie.

Ale nie bójcie się za bardzo. Rewolucja w Polsce wcale nie jest możliwa. Nawet w hałaśliwych powstaniach brało udział najwyżej pół procenta Polaków. Znaczy, prócz hałasu nie ma czego się bać. Ten hałas, to zresztą wyłącznie na nasz użytek, bo inni całkiem nie kapują, o co nam chodziło. Więc teraz też nie będą kapować.

Z tym zadłużaniem, to podam dla jasności, że nie chodzi o nasz osobisty kredyt w banku. Ten osobisty trzeba będzie spłacić osobiście i całkiem osobno.

Z tym nieosobistym też nie będzie szczególnego kłopotu. Co to, to nie. Przyjdzie dobra ciocia Merkel i ochoczo złoży za nas gwarancje. Zagwarantuje, że Polacy są porządnym narodem i zawsze spłacają wszystkie długi. Więc teraz też spłacą. Co do grosza (raczej do centa, bo ojro ma centy).

No dobrze. Skoro ciocia Merkel aż tak w nas wierzy, to jej sprawa. Ale ta wiara, ona musi brać się z czegoś. Możemy się nad tym zastanowić, ale wcale nie musimy, bo my bardzo nie lubimy się zastanawiać. A Niemcy lubią. Oni się zastanawiają nad wydaniem każdego feniga (pardon: centa). Skądże więc oni są pewni, że ichnie gwarancje nie pójdą na marne? Że pójdą na niemieckie konta, wpierw uszczuplone ratami za nasze polskie długi.

Wiele rzeczy możemy Niemcom zarzucić, nawet ogromnie wiele. Ale nie możemy im zarzucić, że nie potrafią liczyć. W odróżnieniu od nas, oni wszystko przeliczają. Na fenigi i marki, albo na ojro i centy, bez różnicy. Nie sprawia im to najmniejszych kłopotów. Fakt, że mają trochę lepsze komputery.

Już dawno temu napisałem o niemieckim liczeniu tak:

„Adenauer zrozumiał, że przedtem, by zająć kawałek ziemi, trzeba było zbudować za wiele milionów czołgi, samoloty i dużo innego szmelcu. I jeszcze wsadzić w ten szmelc Johana czy Hansa. Narazić go na to, że jakiś untermensch palnie z RPG, wtedy czołg razem z Hansem spali się dokumentnie. Przepadną te miliony. Adenauer pojął, że za te miliony można ów kawałek ziemi kupić. Miliony są silniejsze niżeli dywizje, nawet u papieża. Milionami można te dywizje zastąpić w teorii i praktyce. Co prawda, trzeba jeszcze mieć tę ziemię od kogo kupić. Kto sprzedaje ojcowiznę? Ano ten sprzedaje, komu obca jest tradycja, patriotyzm i te inne śmieci. Czym te śmieci zastąpić? To okazało się bardzo łatwe: jak mawiają, „skóra, fura i komóra”. I już. Tak wyrosło pokolenie odpornych na wszystko prócz szmału. Zaczęła się wyprzedaż. Hula jak przeciąg w bramie.”

Komuniści mogli rządzić w Polsce, jak chcieli. Przed Adenauerem i po nim. Ale gwarancje dla polskich długów zapewniał Adenauer i jego następcy. Od zawsze, nie tylko od Gierka. Oni po prostu czekają na swój czas. Cierpliwi są jak jasna cholera. Sama ciocia Merkel rzekła do niejkiej Eriki Steinbach: „jeszcze trochę cierpliwości”.

Znaczy - ile? Czy jakiś Polak zastanowił się nad tym?

Polak zastanawia się wyłącznie nad tym, ile co kosztuje. Prawda, że forsy ma raczej skąpo. Jeździ niemiecką skodą wierząc, że jest czeska. Czyta gazety niemieckie wierząc, że to głos Ameryki. Kocha ojca Rydzyka nie mając pojęcia, że to Axel Springer. Narzeka na smak „żywca” i nie wie, że to już piwo gdzieś bodaj z Kolonii, choć jeszcze wciąż na „habsburskiej” wodzie. Kupuje „ixi” według niemieckiej receptury. Często w niemieckim „Lidlu”. Nawet kiełbasy już nie wpieprza, tylko wurst. Wymieniać dalej? Mogłoby nie starczyć papieru, albo komputer by się zaciął.



Więc takie mam pytanie: kto nas oduczył liczenia? Pal diabli myślenie, bez myślenia już któreś pokolenie Polaków obywa się jakoś i żyje. Lepiej albo gorzej, ale jakoś żyje. Ale bez liczenia w ogóle nie ma życia. U Niemców nawet konie umieją liczyć, a jeden pan głośno podał, że znają się i na całkach. To już jednak włożę między bajki, bo mój dziadek miał niemieckiego konia, którego mu zostawił „na przechowanie” jakiś SS-firer. Ten koń może potrafił liczyć, ale co do całek, rzecz była wykluczona. Bodaj z tego powodu, że nikt go o całki nie pytał. Jakoś nikomu nie przyszło do głowy.

Oduczony liczenia Polak potrafi jednak liczyć na coś. Na Matkę Boską oraz jej towarzystwo. Na Chrystusa Króla Polski. Na sojuszników z zachodu, albo z drugiej półkuli. Na Unię, która nic, tylko pragnie go uszczęśliwić. Na to, że sąsiad wreszcie rozwali swój wypasiony samochód, albo mu przynajmniej go ukradną. Na szefa, że w błysku geniuszu da tę kochaną podwyżkę.

Na bardzo, bardzo wiele przeróżnych rzeczy liczy Polak.

Do takiego liczenia oszczędzę sobie komentarza. Po co strzepić ozór? Nie o takie liczenie biega. Więc znowu zapytam: kto nas oduczył liczenia?

Tylko dwie są możliwości: albo ruskie nas oduczyli, albo niemieckie. Bo od Pepików to myśmy żadnych umiejętności nie ściągnęli. Przecież na te ichnie knedliki jeździmy do Pragi, bo któraż Polka z własnej woli na coś takiego by się odważyła? W 39-tym to nawet karabinów maszynowych za darmo od nich nie chcieliśmy, choć potem brakowało nam ich pod Wizną i nad Bzurą.

Kto chce, niech więc obstawia, co mu bardziej pasuje: niemieckie, albo ruskie są winne, że Polak nie

potrafi liczyć.

Powiedzcie, co jest liczbą większą - 24.000, czy 2.500.000? Podam też słownie: dwadzieścia cztery tysiące, czy dwa miliony pięćset tysięcy? To jest prawdziwe „pokłosie” naszej umiejętności liczenia.

24 tysiące, to oczywiście Katyń i podobne miejsca, następnie uzupełnione przez nasze „polskie” przede wszystkim, ale i niepolskie zbrodnie. One są przez IPN szacowane różnie - na 60, 80, czasem na 100.000. Bez Ukrainy i Wołynia, bo to niesłuszne politycznie. Z Ukrainą i Wołyniem to by musiało dojść bodaj do 200.000. Ile z tych liczb stanowi prawdziwe pokłosie naszej polskiej, tfu-tfu, „mocarstwowej” wschodniej polityki, nie będę przesądzał. To wprawdzie z tej samej bajki, ale z innego jej rozdziału.

Więc 200.000, niechby nawet pół miliona - to mniej, czy więcej, niżeli 2.500.000? Naszych polskich Żydów już do tego nie wliczam - byli mordowani jako Żydzi, nie jako Polacy, choć mieli polskie obywatelstwo. Bezcelnie chcę podkreślić - mniejsza z Żydami.

Żydzi mają swoje żydowskie rachunki. Też nam je wystawiają.

Teraz, kiedy już mamy pewne podstawy, wracam znów do pytania: kto nas uczył liczenia? Może w ogóle nie chodziliśmy do szkoły? Nasze uniwersyteckie papiery nie nadają się nawet do podtarcia - za twarde. Bo liczymy gorzej, niżli niemieckie konie.

Co prawda, zdarza się wcale nie tak rzadko, że ktoś przygotowuje jakieś przedsięwzięcie, czasem z mozołem i trudem - a potem inny ktoś, ni z gruszki, ni z pietruszki, sprzątnie mu rzecz sprzed nosa. Z nauką liczenia u Polaków też tak może być. Znaczy, że ktoś inny posiał, ktoś inny będzie zbierał. Jednym słowem, zalecam ostrożność.

Na wszelki wypadek poleciłbym dzieło niejakiego Friedricha Neumanna, „Mitteleuropa”. Z 1915 roku. Dzieło u nas właściwie mało, albo raczej wcale nie znane, będące jednak swego rodzaju biblią niemieckich polityków - nawet, gdy też dzieła tego nie znają. „Jeszcze trochę cierpliwości” cioci Merkel - to prawie cytata z tego dzieła.

Po pierwsze, należy w tej Mitteleuropie zlikwidować armie - co u nas już się stało. Polska nie ma armii, zaledwie brygady interwencyjne. Z naszego, żal się Boże, Volkssturmu nawet dzieci się śmieją.

Po drugie, należy zlikwidować przemysł. Co także już się stało. Teraz trwa tylko zamiatanie po przemyśle w Polsce.

Po trzecie, należy zwabić maksymalną liczbę Gastarbeiterów. Zwracać uwagę, aby to byli młodzi i sprawni ludzie, godzący się na swój status Untermenscha. To także ma już miejsce.

Po czwarte - rolnictwo, rolnictwo, rolnictwo. To jest jeszcze w trakcie załatwiania. Chodzi o to, że Mitteleuropa winna jedynie orać i siał. W oborach dla krów zmieniać jedynie tę, jak jej, ściółkę. Nic więcej. Przetwórstwo to już dla tej hałasty zbyt skomplikowane.

Po piąte, płacić. Nieszczerólnie żałować. To będzie i tak mniej, aniżeli wyposażenie dywizji, eskadr i wojennej floty. Prawdziwa armia to niewyobrażalne pieniądze. Dużo ziemi za to można kupić.

No, dosyć tych cytatów.

Jeszcze tylko przypomnę, że po II wojnie dokładnie tego samego chciał dla Niemców amerykański sekretarz skarbu, Henry Morgenthau. Żeby bez armii i bez przemysłu, zająć Niemców orką i wypasem, bo Henry Morgenthau uważał, że nie ma na nich innej rady. Że to wyłącznie kwestia czasu, jaki zostanie im do dyspozycji. Henry Morgenthau to nie był głupi człowiek. A jeśli nawet był, to się okazał w tej głupocie wizjonerem.

Nie wierzcie ani przez chwilę, że Niemcy tego nie pamiętają.



Kiedy więc pan minister Rostowski skończy zadłużanie Polaków, okaże się nagle, że wszystkie dłużne skrypty są u cioci Merkel.

A dalej co?

Na temat „co dalej” można tysiące scenariuszy napisać, chociaż dałbym sobie łeb uciąć za to, że żaden nie dorówna rzeczywistości. Bo rzeczywistość naszą jedynie Rechts und Ordnung będzie odtąd kształtować. Koniec wojenek na górze i na dole. Arbeit muss sein.

O „Arbeit macht frei” możemy całkiem, absolutnie zapomnieć. Jak znam życie, łatwo zapomnimy.

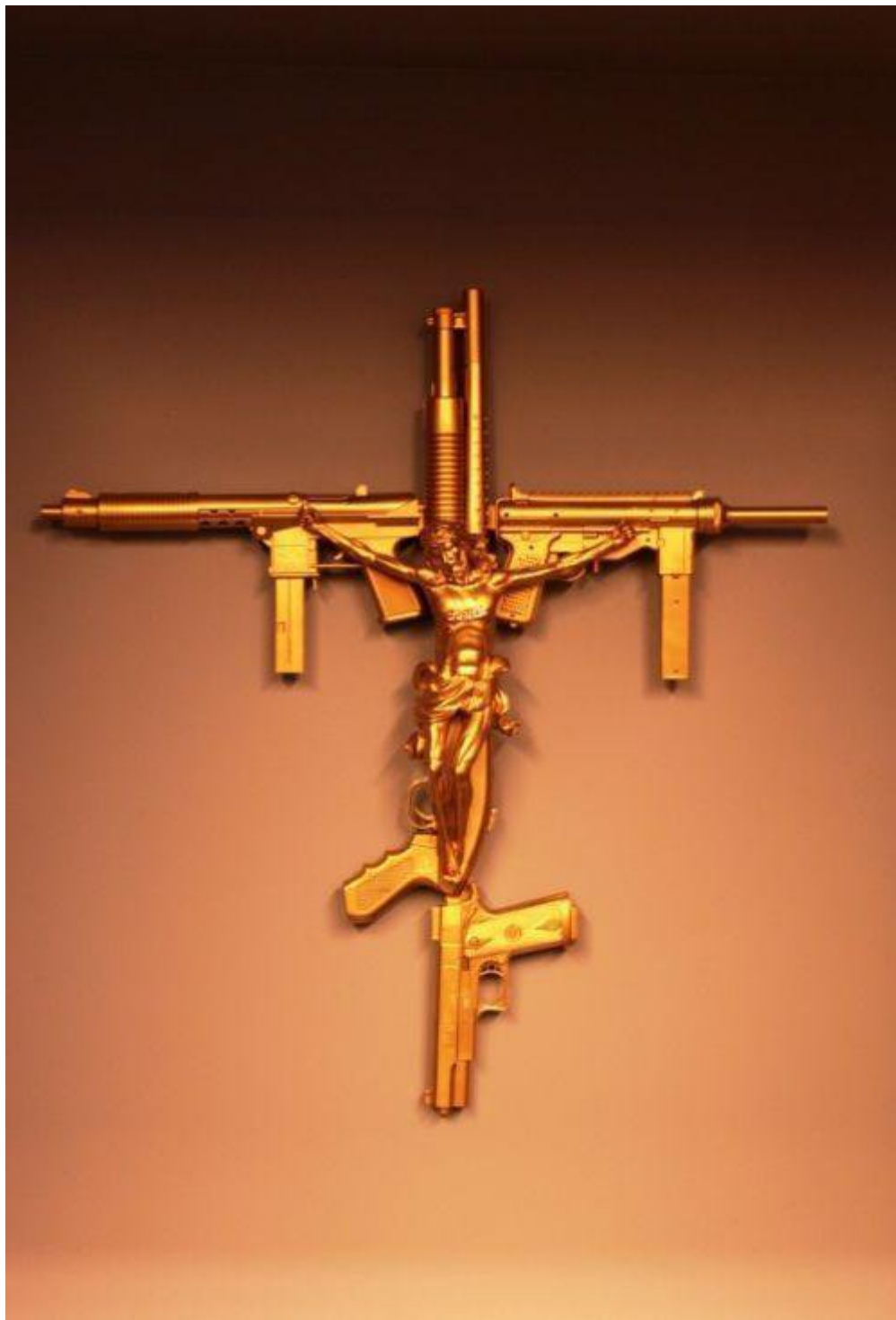
Więc ciocia Merkel poręczy za nas. Oczywiście, pod warunkiem, że się zgodzimy na jakąś formę komisarycznego zarządu. Ten zarząd nie będzie miał niczego wspólnego z okupacją, już nie te czasy. Sami będziemy robić za armię okupacyjną i to z dużym zapałem. Bo nikt nie pilnuje tubylców tak skutecznie, jak sami tubylcy. To zostało tysiąckrotnie dowiedzione.

Armia okupacyjna nie będzie więc potrzebna, co ogromnie zaważy przede wszystkim na kosztach.

Napisałem „pod warunkiem, że się zgodzimy” - i dobrze napisałem. Bo jak moglibyśmy się nie zgodzić? Niby sejm przegłosuje niezgodę? Wybierając ten sejm, już z góry wykluczyliśmy niezgodę.

Potem nadejdzie czas Eriki Steinbach.

Znaczy to, że tysiące takich „Erik” w majestacie Rechts und Ordnung, bez żadnych tam bagnatów, powróci na „swoje”. Nic to, że „swoje” zostało kiedyś tam zagarnięte przez „Eriki” właśnie pod groźbą bagnatów albo mieczy. Bo nikt nie może dowieść, że „Pommern” to prowincja niemiecka, a „Schlesien” tak samo. Nikt nie może nawet i tak twierdzić, że Brandenburgia to nie znaczy „kraina płonących grodów”, wycinanych do pnia w imię obcej wiary. Władcy Obodrytów czy Wioletów jeszcze w X wieku przez niemieckich kronikarzy byli zwani królami. Nawet papieżę tak ich tytułowali.



Ale Erika Steinbach, siedząca w Berlinie na kościach Wioletów ma Recht, kiedy mówi, że to „zawsze było niemieckie”.

Nie musi się obawiać, że Polacy nagle nauczą się liczyć.

Co prawda, Erika będzie miała pewien problem do pilnego rozwiązania.

Chodzi o to, że Polaków jest jakby za dużo, a Niemcy potrafią liczyć. Oni nawet liczą do trzydziestu paru milionów. Bez kłopotu. Więc na pewno dobrze nas policzyli. Nie twierdzę, że co do sztuki. Starczy, że policzyli z grubszą. Ten przypadek nie wymaga aż takiej dokładności.

Więc pytam znów: co nas czeka? Wschodnia granica jest raczej szczelna, tam nas nie wyrzucą. Ruski protektorat jest już nierealny, a to z braku wspólnej granicy. Pozostają chyba jakieś luksusowe kontenery. Amerykanie też tak sobie mieszkają, a kto by nie chciał mieszkać jak w Ameryce?

Poza tym, Polska tak jakoś starzeje się, co wszystkim wiadomo. Nowych obywateli także mało przybywa. Gastarbeitery wyjeżdżają na potęgę. Byle gdzie wyjeżdżają. Monsanto&Consortes pracują ile sił.

A prawdziwej kiełbasy już nie ma.

PS. Jest pewne pojęcie w psychologii, nazywane "wyparciem". Używa się go, gdy ktoś nie chce przyjąć do wiadomości jakiejś informacji, gdy nie chce w nią wierzyć, albo nie jest ona wygodna.

Autor: Zbysław Śmigielski

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl